

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 4

Katowice, dnia 22-go stycznia

1928

Niedziela trzecia po Trzech Królach.

LEKCJA

Rzym r. 12, w. 16—21.

Bracia: Nie bądźcie mądrymi sami w sobie: żadnemu złem za złe nie oddawając: przemyślując to, coby było dobrego nie tylko przed Bogiem, ale też i przed wszystkimi ludźmi. Jeśli być może, co od was zależy, ze wszystkimi ludźmi pokój mając: Nie mszcząc się sami, najmiłsi, ale dajcie miejsce gniewowi. Albowiem napisano jest: Mnie pomsta: ja oddam, mówi Pan. Ale jeśli łaknie nieprzyjaciel twój, nakarm go; jeśli pragnie, napój go: bo to czyniąc, węgle ogniste zgromadzisz na głowę jego. Nie daj się zwyciężyć złemu, ale zwyciężaj złe dobrem.

EWANGELJA

zapisana u św. Mateusza w rozdz. VIII, w. 1—13.

W on czas: Gdy Jezus zstępował z góry, szły za nim mnogie rzesze. A oto zbliżył się trędowaty i oddał Mu pokłon, mówiąc: Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić. I wyciągnawszy rękę, dotknął się go Jezus, mówiąc: Chcę, bądź oczyszczony! I natychmiast uleczył go z trądu.

Rzekł mu na to Jezus: Uważaj, byś nikomu nie mówił; lecz idź, okaż się kapłanowi i złożź ofiarę, jaką przepisał Mojżesz, dla ich świadectwa.

A gdy wchodzi do Kafarnaum, przystąpił doń setnik i począł Go prosić, mówiąc: Panie! Sługa mój leży w domu porażony i bardzo cierpi. Odrzekł mu Jezus: Ja przyjdę i ulecę go. Odpowiadając zaś, setnik, rzekł: Panie, nie jestem godzien, byś wszedł pod dach mój; ale rzeknij tylko słowo, a wyzdrowieje sługa mój. Boć i ja, człowiek podległy władzy, mam żołnierzy pod sobą; i gdy powiem temu: „idź” — to idzie; a tamtemu: „pójdź” — to przychodzi, a słudze memu: „czyń to” — to czyni.

Słyszając to, Jezus zdziwił się i rzekł do otoczenia swego: Zaprawdę, powiadam wam, tak wielkiej wiary nie znalazłem w Izraelu. To też powiadam wam, że wielu przyjdzie od wschodu i od zachodu, i zasięda z Abrahamem, Izaakiem i Jakóbem w królestwie niebieskiem; a synowie królestwa wyrzuceni będą precz do ciemności, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. A do setnika rzekł Jezus: Idź! — i jakoś uwierzył, niech ci się stanie! — I w tejże godzinie sługa ozdrowiał.

NAUKA.

W Ewangelji św. na niedzielę dzisiejszą czytamy: „W on czas, gdy zstępował Jezus z góry, szły za nim wielkie rzesze. A oto trędowaty przyszedłszy pokłonił się mu, mówiąc: Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić”. Mat. VIII. 1—2). Trąd jest obrazem grzechu, na który choruje dusza nasza. Dla tego rozpoznajmy chorobę duszy naszej z cielesnego nieszczęścia tego trędowatego; zarazem ma pochwałę godne wysta-

wienie wobec Pana Jezusa pouczyć nas, jak my z tym boskim lekarzem duszy postąpić sobie winniśmy.

Rozważcie, jak pożałowania godnym był stan trędowatego. Trąd jest straszliwym nieszczęściem, a biedny człowiek, o którym opowiada Ewangelja św. był nim zupełnie pokryty; „pełen był trądu”, jak mówi św. Łukasz. Każdego on przerażał. Ale czyż i grzech nie jest brzydką raną na duszy? Nie jestże każdy grzech śmiertelny niejako wrzodem gnijącym, piętnem duchowego rozkładu? Gdybyśmy byli w stanie zobaczyć wszystkie plamy i rany, któremi dusza nasza wskutek grzechu jest pokryta, jakżebyśmy sami sobą brzydzić się musieli? A co Bóg o nas myśli, on, który widzi te plamy doskonale? Czyż myśl o dotychczasowym naszym grzesznym życiu nie powinna wyrugować z serca naszego wszelkiej pychy, a napęlić go głęboką pokorą? Tak, Panie, my nie jesteśmy przed obliczem Twojem niczem więcej ani niczem mniej jak grzesznikami od młodości naszej.

Trąd jest także zaraźliwym; tak samo i grzech, który udziela się drugim za pomocą oczu, słów, uczynków i przykładów. Jak zarażająco działa niedowiarstwo, rozszerzane przez wrogie wierze gazety i książki, przez mowy i szyderstwa! Ile złego wyrządza niemoralność szerząca się coraz więcej przez brzydkie romanse, nieobyczajne obrazy, bezwstydną widowiską i szaty, lekkomyślne tańce i kuszenie ze strony tych, którzy się tym grzechom oddają! Jak zgubnym jest przykład pijaństwa, nadmiernej żądzy rozkoszy, nieposłuszeństwa w obec powag przez Boga ustanowionych! Jeden drugiego pociąga z sobą do grzechu, gdyż więcej do złego jesteśmy skłonni jak do dobrego, a niejedno mniej złem nam się wydaje dla tego, że i inni to czynią. Tak zaraźliwym jest grzech, a ta zaraza jest stokroć zgubniejszą i gorszą od zarazy trądu. Bo gdyby trędowaty zaraził kogo innego, toby przez to jego własne położenie się nie pogorszyło; lecz kto innych do grzechu uwodzi, powiększa przez to własną swą winę, popełniając zarazem grzech cudzy. Ach, czy dusza nasza nie jest dość splamioną własnymi grzechami, że obarczamy ją jeszcze grzechami obcymi?

2. Rozważcie, jak sobie trędowaty postąpił z Panem Jezusem.

Trędowaty pada na oblicze swoje i oddaje cześć Jezusowi. Jakaż to pokorna postawa, jak głębokie uszanowanie w obec Jezusa! A w jakiejże postawie my się modlimy, zwłaszcza gdy się znajdujemy w kościele przed św. tabernakulum? Czy pamiętamy o tem, że znajdujemy się tam przed oczyma Boga, przed owym strasznym majestatem, który nas z niczego do życia powołał i jeszcze dzisiaj sądzić może! — Trędowaty prosi Jezusa, mówiąc: „Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić”. Jak krótka, a zarazem jak szczerza modlitwa! Jaka wiara w potęgę Zbawiciela, jaka ufność w jego dobroci, jaka pokorna uległość, zawarta w tych kilku słowach! Dla czego my nie prosimy w czasie pokusy: „Panie, jeżeli chcesz, możesz mnie uratować!” przy ranach duszy: „Panie, jeżeli chcesz, możesz mnie uzdrowić!” Gdybyśmy posiadali wiarę, ufność i uległość, jak ów trędowaty, czyby prośby na-

sze były daremne? — Jezus ulitował się nad owym nieszczęśliwym, wyciągnął rękę swą i rzekł: „Chce, bądź oczyszczon!” i naraz od trądu uwolnionym został. Tak samo, gdy grzechy nasze z żalem i szczerze wyznamy kapłanowi, zastępującemu miejsce Boga, i do nas Jezus wyrzeknie te słowa pełne pociechy: „Chce, bądź oczyszczon!” — Obyśmy jak najczęściej z łaski odpuszczenia grzechów korzystać zechcieli! Amen.

Cudowne objawienie podczas Mszy świętej.

Zbawiciel świata mówił do żydów, że ciało Jego prawdziwym jest pokarmem, a krew Jego prawdziwym napojem, lecz oni temu nie wierzyli. Podobna wątpliwość nieraz powstała w umyśle chrześcijan; ale Pan Bóg potęgą swej miłości niejednokrotnie zlecił twardość serc ich, i przez cudowne objawienie wykazał prawdziwą obecność Swoją w Przenajświętszym Sakramencie.

Święty Tomasz z Akwinu mówi o tym przedmiocie:

— Ci, którzy żywoty Świętych czytali, wiedzą dobrze, że często Sakrament ciała i krwi Chrystusowej ukazany był ludziom, nie tyle dla zbawienia dusz wątpiących, jako raczej dla pociechy i utwierdzenia dusz gorliwych i Boga kochających. Widziano go pod postacią baranka, dzieciątka lub pod postacią ciała i krwi. Co jest w Tajemnicy Ołtarza pod postacią Chleba ukrytem, przez cud Wszecmogącego Boga, jawne się stało.

Pewien kapłan, imieniem Eglidusz, często prosił Pana Boga, żeby mógł oglądać bez zasłony Pana Jezusa w Jego Sakramencie miłości. Pewnego dnia, gdy Mszę św. odprawiał, ukląkszy po Agnus Dei, tak się modlił:

— Boże Wszecmogący, Stworzycielu i Odkupicielu świata! ukaż mi w tej tajemnicy żywe ciało Jezusa Chrystusa, abym pomimo niegodności mojej mógł oglądać żywe Dzieciątko Marii Dziewicy.

Wnetże Anioł, zstępując z Nieba, rzecze do niego: Wstań, a oglądaj żywego w ciele Jezusa Chrystusa, którego Matka Dziewica na ziemi piastowała.

Kapłan drżący powstaje, i widzi Dzieciątka na ołtarza siedzące. Anioł mu rzecze:

— Ponieważ chciałeś oglądać Jezusa Chrystusa, patrz teraz i przekonaj się, że ten jest widzialnym, który się pod przymiotami chleba ukrywa.

Kapłan drżący wziął na ręce Boże Dzieciątka, i w zachwycie miłości tulił je do serca... Króla chwalił na ręku swoim piastował... Potem złożył Dzieciątka na ołtarzu i znowu upadając na kolana błagał Zbawiciela, aby zasłonę sakramentalną przyjąć raczył, co się wnet stało. Przyjął Komunię św. pod dwoma postaciami i z sercem przepelnionem wdzięcznością za tak nieocenione łaski, Mszy św. dokończył.

Ojciec Cezary, Kapucyn Heisterbach, w Niemczech powiada: iż pewien zakonnik, imieniem Gottszalk, odprawując Mszę św. w nocy Bożego Narodzenia, ujrzał w Hostji prześliczne Dzieciątka. Przejęty najwyższą radością dziękował Bogu za tę łaskę, lecz zamilczał o niej i dopiero przed śmiercią przelożonemu swemu takową wyjawił; ten zaś opowiedział to sąsiedniemu proboszczowi, Adolfowi Delferu, który lekkomyślnie żyjąc, zaniedbywał kapłańskich powinności; ale usłyszawszy o tym cudzie, westchnął głęboko, mówiąc:

— Cemu to Pan Bóg tylko doskonałym i świętym takie rzeczy objawia? niechby to raczej mnie, biedakowi ukazał i innym takim, jak ja, cośmy często pokusami przeciw prawdziwej Jego obecności w tym Sakramencie trapieni...

Rychło potem miał i on we Mszy św. także objawienie i bardzo się przeląkł... lecz widząc Dzieciątka Boże mile się do niego uśmiechające, ocłona ze strachu. Odwrócił potem na drugą stronę Hostji świętą i ujrzał Pana Jezusa ukrzyżowanego... czem się tak bardzo przeraził, że długo łzy wylewając, stał jak wryty... Kiedy widzenie znikło, wtedy z wielkiem nabożeństwem Mszy św. dokończył. Wszedł potem na am onę i ze łzami opowiedział ludowi, co się stało, zachęcając wszystkich do wielbienia Boga; i tak skorzystał z tej łaski, że się zupełnie odmienił: oddał się pokucie, umartwieniu, i paratjanom swoim przykładem cnót kapłańskich przyświecał.

W niektórych objawieniach cuda były nieustanne. Taką była Hostja święta, o której mówi Sylwester Petrasanta.

Za czasów Alfonsa III, króla Portugalji, cudowna krew z tej Najświętszej Hostji płynęła; a nadto gromady pielgrzymów z dalekich stron przybywających widziały w Niej cudownie przedstawiające się różne tajemnice życia Chrystusa Pana: Jego Narodzenie, Jego Mękę... Zmartwychwstanie itp. Jedni widzieli Dzieciątka Boże na ręku Swej Matki; inni młodzieńca wszechwdziękiem urody jaśniejącego; inni słodkiego Zbawiciela z ojcowską dobrocią na nich oglądającego; albo też groźnego Sędziego w powadze Swego Majestatu... zapewne według usposobienia patrzących. Czasami także widzano Ecce Homo, Zbawiciela ranami okrytego, krwią oblanego, w szkarłatnym płaszczu, z trzcina w ręku, cierniową koroną uwiecznionego, jak Go Pilat ludowi ukazywał.

W klasztorze Sawien, w Niemczech, pewien kapłan, odprawujący Mszę św., widział po Podniesieniu jasnym Aniołów ołtarz otaczających, i z niskim pokłonem Bogu cześć oddających. Gdy kapłan wymówił te słowa: — Prosimy Cię pokornie, Wszecmogący Boże, rozkaż, żeby święci Aniołowie Twoi zanieśli te dary przed Tron Twój... ujrzał, jak jeden Anioł, nad innymi jaśniejszy, wzięwszy z ołtarza Hostję świętą zaniósł ją do Nieba i Panu Bogu ofiarował; potem znowu w gronie weselących się Aniołów odniósł ją i na ołtarzu złożył. Kapłan, zachwycony tem widzeniem, z radością Mszy św. dokończył, i wielu osobom cud ten opowiadał, do wielbienia Boga wszystkich zachęcając.

Cudowna woda.

LEKARSTWO NA KŁOTLIWOŚĆ.

Oj była to rezolutna kobieta ta młynarzowa i niezrównaną miała biegłość języka, mimo to jednak nie wskórać nie mogła przeciwko mężowi, który nagły a niepohamowany w złości o byle co do kija się porywał. Kłótnie domowe stały się coraz częstsze, tak, iż w końcu nie było w tej wojnie domowej już wcale wytchnienia. Przekonała się młynarzowa najdowodniej, że jej język, jakkolwiek najświetniejszy, musiał wywijać młynki i jakoby kartaczownica nie zliczonem, a ostatniemi sypać musiał nazwiskami, za słabą był bronią, aby mogła być nadzieja zwycięstwa. Bezradna udała się tedy do sąsiadki, wywodząc przed

nią rament serdeczny na męża i prosząc ją o poradę.

Sąsiadka wiedziała niezawodnie z doświadczenia, że nie dobrze wtykać palce między drzwi i mieszać się w cudze sprawy, to też nie umiała młynarzowej inaczej poradzić, tylko aby udała się do miasta, do sławnego lekarza, co to niedawno się sprowadził, a o którego wyleczeniach ludzie nadzwyczajne rzeczy opowiadają; on znajdzie zapewne jaką radę.

Nazajutrz miała młynarzowa interes w mieście, więc korzystając z rady sąsiadki, zdobyła się na odwagę i odszukała lekarza.

Ach! mój Boże, ile to w tem mieście nieszczęśliwych kobiet! pomyślała sobie młynarka, widząc w przedpokoju lekarza wielką liczbę niewiast.

— Czyżby wszystkie szukały tu porady na swych mężów?

Po długim czekaniu przysłała wreszcie i na nią ko'ej i z początku nęsmiało, ale w końcu coraz śmielej opowiadała doktorowi całą swą niedolę.

— Ach panie doktorze, prosiłabym o jaką „medycynę“, którą ym męża mego z klótlwości wyleczyć mogła. Niepodobna już z nim wytrzymać, a im więcej mu dogaduję i wyrzucam jego popędlwość, im więcej się bronię i odcinam, tem gorszym i gwałtowniejszym się staje.

Lekarz, namyśliwszy się chwilę, zadzwonił na służącego i kazał przynieść wielką butelkę.

Mam ci ja takie lekarstwo — rzekł do młynarki, lekarstwo dobre i niezawodne, tylko, że to bardzo drogie, bo kosztuje aż 3 rubele.

— O panie doktorze, niech kosztuje co chce, aby tylko pomogło!

Lekarz pobiegł do sąsiedniego alkierza, tam coś lał w butelkę i mieszał, potem powrócił z butelką pełną przezroczystego jak krystalu płynu.

— Musisz moja kobietko, rzekł podając młynarce butelkę, najściślej stosować się do moich przepisów, bo tylko w takim razie lekarstwo pomoc może, a że niema też smaku przykrego, przeto nie trudno go zazywać, a za skutek ręczę.

— Więc dobrze sobie pamiętaj: skoro tylko mąż będzie chciał rozpocząć klótnie, natenczas weźmij spory łyk tego lekarstwa i trzymaj w ustach, ale strzeż się abyś ani kropli nie połknęła. Dopiero po pół godziny możesz ją ostrożnie wypluć.

Uradowana pobiegła młynarzowa z nieocenioną „medycyną“ do domu. Nie trwało długo — a było to już pod wieczór — usłyszała na schodach gniewne stapanie męża. Czempredziej więc wzięła przepisaną ilość lekarstwa w usta i zaczęła spokojnie krzątać się koło swego zatrudnienia.

Młynarz wrzeszczał i kłął, jak zwykle. Młynarka trzęsła się od złości, że na to wszystko ani słowa odpowiedzieć nie mogła, ale pamiętna na surowy przepis lekarza, kosztowną i niebezpieczną „medycynę“ starannie trzymała w ustach.

Niemano zadziwił się młynarz, że żona taka milcząca, a gdy i na najgorsze wyzwiska nic nie odpowiedziała i nie miał się z kim klócić, zamiłł także i rychło położył się do łóżka.

Nazajutrz wieczorem ta sama powtórzyła się scena i z tym samym skutkiem.

— Co się to mojej babie stało? pomyślał sobie młynarz, że tak nie do poznania się zmieniała? Dawniej język jej szedł jak młynek, a teraz jest milcząca i cierpliwa, jak baranek. Czyżby miała być chorą?

Ale młynarzowa była zdrową i weselszą niż dawniej. Bo też kosztowne lekarstwo znakomity odniosło skutek. Chociaż mąż nieraz miał ochotę dopro-

wadzić do klótni, musiał zamilknąć, bo żona swą „krop'e“ starannie trzymała na języku.

Młynarz wreszcie sam przyszedł do uznania, że cierpliwej i łagodnej swej żonie dokucza, a gdy się jeszcze przekonał, że przy milej zgodzie także dobrobyt się podnosi, zmienił się także nie do poznania, i był dla żony łagodnym i serdecznym. Pokój i zgoda zakwitły w domu, a uszczęśliwiona młynarzowa nie mogła dosyć dziękować sąsiadce za dobrą radę. A wszystko to zrobił dobry lekarz za pomocą „czystej wody“.

Żeby też to wszystkie gadaliwe kobiety zechciały użyć tego skutecznego lekarstwa, aby wyrugować wreszcie wszelkie gniewy i swary.

KWIATY.

Przez małe okno w dachu pada światło szarawe, mętne, pada jakby z łaski w głąb niewielkiej izdeki, przedostając się przez szyby w ścianie drewnianej, odgradzającej pokój od strychu.

Nigdy tam nie zagląda słońce, nigdy nie pieści promykiem starych sprzętów, nie rozproszy wiecznego półmroku, zmieszanego z zaduchem, stęchlizną, przyłgniętą do brudnych ścian, sufitu, podłogi. W ciszy smutnej przechodzą godziny głucho, monotonicznie. Jedna pastka, jedna wielka szarość, przygnębienie wieje zewsząd.

W rogu pokoju na tapczanie leży młode dziewczę. Cierpienie wyryte na drobnej twarzyczce, miazdży resztę sił gorączką, piętnując męką bólu poszerzone źrenice.

Wychucłe ramiona i piersi wysuwają się z pod łachmanów, sploty czarnych włosów okalają twarzyczkę drobną, oczy palają ogniem. Chora leży w półprzymkniętym, wodząc oczyma po pokoju, gdzie stał fotel. Siadywała w nim jej matka. Spoczywa i teraz, znużona czuwaniem nad córką.

Dziewczę wpatrywało się długo w zmęczoną, pogrążoną w sen, staruszkę, a w myśli pytało siebie, dlaczego los skazał obiedwie na mękę, dlaczego powalał ją chorobą i nie pozwalał pracować, zarabiać na życie.

Stawała jej przed oczyma dotychczasowa dola, wszystkie momenty przeżytych trosk i cierpienia, głód i całodu.

W połowie rozpoczęty haft leżał na stole, nikt ale mógł skończyć go teraz...

— Haft — szepnęła dziewczyna, haft powtórzyła pogardliwie. He ostatecznych sił odpędziły te ścięgi różnobarwne, ile miały może odpędzić jeszcze, bo cóż innego, jak nie one — nic i nikt.

Nic i nikt — powtórzyła w zamyśleniu. Dlaczego tak jest, a nie inaczej? Dlaczego nie widzi przed sobą i matką swoją jaśniejszej przyszłości?

Zawirowały zapytania w mózgu, spotęgowały gorączkę.

Martwiła się dziewczyna przyszłością, nędzą, która groziła im strasznie, gdyby się choroba przedłużyła.

Dlaczego tak jest a nie inaczej? Dlaczego skarżyć się muszę na ciągły brak?

Szukała długo na to odpowiedzi, szukała, ale napróżno.

W gorączkowej wyobraźni ujrziała tłumy ludzi, pytających się tak samo, jak ona i nie widzących lepszej przyszłości. Byli oni wszyscy niespokojni, przerażeni, przeklinający życie. Zginali karki swoje pod brzemieniem nędzy i zaciskali spracowane pięści, bezradni wobec losu macochy.

Dlaczegośmy biedakami, dlaczego bojujnikami bez przerwy, szamoczącymi się z dniem każdym?

Tysiące głosów podnosiło się w jeden rozszalały męka hymn; ciche pytanie chorej złączyło się ze słowami setek.

Poruszyła się nieprzytomna wzrastającą gorączką. Spieczone wargi wymawiały wciąż jedne pytania: — dlaczego cierpieć trzeba, czemu wśród ludzi nie ma szczęścia, czym jest ono samo?

W zgorączkowanej myśli zaczęły przewijać się różne obrazy — widziadła.

Przymknęła oczy. Przez chwilę leżała bezprzytomna.

Godziny mijały.

Zwolna rozwiera powieki, zatrzymując oczy na wiązance kwiatów, którą parę dni temu przyniósł dla chorej doktor. Kwiaty były zwiędłe, przedstawiały coś steranego wyszarzanego. Chorej dziewczynie — zdawało się, że są świeże, pachnące piękne. Uśmiechnęła się do kwiatów, wyciągając ku nim swoje dłonie.

— Kwiaty — szeptały do nich serdecznie, kwiaty moje. Rozchylacie paki swe i niesiecie mi woń rozkoszną. Przypominacie lepsze chwile, kiedy byłam nie tak chorą, mogłam jeszcze pracować, kiedy było co jeść.

Cudną krasą pieścicie oczy i dajecie odrobinę szczęścia nawet wśród bólu, który mnie nęka. Ach, — westchnęła — jesteście moim szczęściem.

Kwiaty w milczeniu słuchały słów dziewczyny.

Ginały, zamierały z każdą chwilą. Dziwiły się, że mogły dać szczęście choremu, bielnemu dziewczęciu. Smutno patrzyła w twarz chorej.

Wyciągnęła ręce ku kwiatom, jakby je chciała przytulić do piersi, jakby je chciała popieścić.

Jesteście mi szczęściem — powtarzała w zgorączkowaniu, co przypominacie lepszą przeszłość.

Kiedy wymawiała te słowa, ujrzała naraz tłumy ludzi, wyciągających ręce po jej kwiaty.

Byli w tym tłumie wszyscy, od naj biedniejszych, do naj bogatszych.

Dusili się, popychali, dobijając o kwiaty — co były szczęściem chorej dziewczyny.

Słyszała ich głosy, ich krzyki, słyszała jęki, przekleństwa, zmieszane w jeden wielki gwar, w jeden wielki krzyk.

Zdawało się chorej, zgorączkowanej dziewczynie, że naraz rzucili się wszyscy ku jej kwiatom, że zaczęli obrywać listki, po listkach, rwać całą wiązanekę, bić się o nią.

Czemu, czemu kwiaty mi obrywacie, czemu niszczycie — szeptała półprzytomna zgorączkowana. Czemu rozrywacie wiązanekę...

Tłum ryknął: mówisz twojem szczęściem jest, może i dla nas niem będzie. My go nie mamy, chcesz mieć ty jedna? Tylko ty?

Śmiał się szyderczo z chorej. Rwali w trzępy wiązanekę, tarmosili niemilosłownie.

Dziewczyna podniosła się gwałtownie z posłania, chciała im wyrwać kwiaty — jej szczęście.

Brak sił nie pozwolił jej tronić wiązanki.

Pała dziewczyna u stóp matki, zbudziła staruszkę przerażoną, zrozpaczoną.

Chora coś mówiła o ludziach, o szczęściu, które wydierają sobie, niszczą, deptają, innym zazdrościć, c ocałoby ono naj mniejsze było, naj chsze, jak te kwiaty powieśle.

Ale staruszka niezrozumiała swej córki, mającej naj nieprzytomnie. Uniosła ją ostatnim wysiłkiem i złożyła na tapczanie.

— Nie może, nie może być szczęścia wśród ludzi, bo sami niszczą, bo wydierają sobie, bo je deptają — szeptała zgorączkowana, nieprzytomna chora.

Płynął szept rozdzierający w półmroki poddasza i przepadał w zaduchu, stęchliźnie.

Wszedł doktor, spojrzął na dziewczynę, ujął za dłoń i rzekł:

— Przesilenie.

— Panie doktorze, czy tylko będzie moja córka zdrowa?

— Teraz ją uratuję napewno — powiedział doktor, pocieszając znekana matkę.

Kiedy wyszedł, błogostawiła staruszka doktora za jego współczucie i pomoc — klękała przed obrazem, świętym prosząc o rychłe wyzdrowienie jedynaczki.

IMELDA.

W starym rękopisie jednego klasztoru w Anglii, czytamy następujące zdarzenie:

Ten klasztor był wielkim opactwem w hrabstwie angielskim, w którym pobożne zakonnice w modlitwie i pracy Panu służyły. Wiele panienek i najzacniejszych rodzin tam się kształciło i wychowywało w pobożności i cnocie chrześcijańskiej. Między niemi znajdowała się także Imelda, delikatna i słaba istota, którą siostry z miłości ku Bogu przyjęły i we wszelkiej cnocie wychowywały. Panienska ta już wcześniej okazywała nadzwyczajną miłość i cześć ku Bogu utajonemu w Najśw. Sakramencie i objawiła życzenie, aby mogła z innymi dziećmi przystąpić do Stołu Pańskiego; lecz ponieważ była jeszcze zbyt małą, nie pozwolono jej na to.

Tymczasem nastąpiła dla Kościoła zła czasy. Kapłani tylko rzadko i to z narażeniem się na niebezpieczeństwo utraty życia mogli spełniać swe obowiązki. Może nikt nie zasmucił się tak bardzo, jak mała Imelda, która widziała, że najbliższe jej pragnienie jak sen się rozwiłało. W dawnych czasach był gdzieniegdzie zwyczaj, że Ciało Pana Jezusa spoczywało na ołtarzu w cyborjum srebrnym, mającem kształt gołębia. Tak było i w kościele tego klasztoru.

Całymi tedy godzinami klęczała Imelda przed ołtarzem i błagała z dzieciinną prostotą:

— Kociany Zbawicielu! każ gołąbkowi zstąpić i zaspokój pragnienie moje!

Z niemałą trwogą widziały zakonnice, że z każdym dnem siły Imeldy nikły, a jednak nie było sposobu zaspokoić pragnienia pobożnego dziecka, gdyż ani jednego kapłana katolickiego nie było w pobliżu.

Jednej pięknej ciepłej nocy letniej klęczała w sieni za filarem w kościele i modliła się. Nagle dały się słyszeć ciche kroki: była to Imelda, która jak tylko mogła najbliższej ołtarza ukłękła i podniósłszy oczy i ręce, wciąż powtarzała:

— O Panie, każ przecież gołąbkowi zstąpić i zaspokoić moje pragnienie!

Ksieni nie chciały przeszkadzać nabożeństwu Imeldy, dla tego zachowała się bardzo cichutko. Nagle dreszcz święty przeszedł po jej ciele, oczom swym wierzyć nie chciała; gołąbek powoli się spuścił i ostatek świętą, jasnym blaskiem otoczoną, na języku Imeldy złożył, a potem powoli na dawne miejsce powrócił.

Dobrośliwy Pan Jezus zaspokoił pragnienie pobożnego dziecka. W kilku dni potem skończyła Imelda na rękach ksieni.